



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

AKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek

WAŻNA KWESTYA.

Ważną kwestyą z zakresu najdostojniejszej, najwnioślejszej pracy kobiecej podniosła w druku niemiecka filantropka, Matylda Weber z Tubingi dłażczego w Niemczech zaczyna brakować dyakonis, to jest ewangelickich siostr miłosierdzia? Dlatego, brzmi odpowiedź, że prąd emacyacyjnych dążeń zaciemnił znacznej liczbie kobiet znaczenie i pojęcie powołania niewieściego wśród ludzkości. Te, które uczuwają w piersi gorętsze serca uderzenia, wzbudzone przez szlachetne pragnienie poświęcenia się dla dobra ogółu, nie umieją już obecnie pojmować tego przez pracę w zakresie tych spraw życia niewieściego, których znaczenia nie uznają w skutek nie dość głębokiego wejżenia w nie z punktu użyteczności ich dla ogółu. W Ameryce znajdują się kobiety kaznodziejki z tym szlachetnie podjętym zamiarem, aby przez słowa przelęwać w dusze ludzkie wzniośle pojęcie celów życia wyższych, niż egoistyczne pragnienie osobistego szczęścia — osobistego zadowolenia potrzeb swych duchowych, czy materyalnych; czy przecież każda dobra matka nie jest już kaznodziejką taką przez wyraz czynów spełnianych w czei prawdy i uczciwości? Ona-to za pośrednictwem przykładów życia codziennego i praktyki cnót miłości bliźniego, godności człowieka, wpaja w serce i umysły młode przekonania te, że zadaniem człowieka w każdym stanie, w każdym położeniu jest rozszerzanie wśród ludzkości takiego pojęcia życia, przez które człowiek zdołałby objąć wzrokiem ducha zagadnienia życiowe: prawa i przywileje swoje, odpowiadające powinnościom.

Gdzie tego niema, gdzie jednostka uważa się za istotę w ten sposób wolną, że może dążyć bez-

względnie do celu pragnień swoich i nabytków pożądanym, tam zmazywać się muszą wszelkie nakazy moralności społecznej i człowiek staje się sam sobie celem. Matka, która wychowanie dziecka swego powierza kobiecie obcej, aby rozwijać tymczasem działalność jakąś w zakresie pracy społecznej, przeniewierza się obowiązkowi swemu i trzeba jej było raczej rodziny nie tworzyć, samotnie idąc przez życie. Człowiek jest istotą wolną, i szlachetny myśliciel francuzki, Saint Simon, nie mylił się, czyniąc to ideą życia ludzkości, aby każda jednostka miała możność i prawo działalność swoją swobodnie rozwijać, ale trzeba jej wtedy nie brać na siebie obowiązków, stawających w sprzeczności z jej pragnieniami. Kobieta posiada równe z mężczyzną prawo umysł swój kształcić, bo ma taki sam jak on obowiązek, aby jak roślina nie przyrosła do ziemi i nie karmiła posożytnie ducha swego tem tylko, co ktoś zarobi, sama nie tu nie dokładając, a nawet przez najwyższe życia jej zadanie, przez macierzyństwo należy to do jej obowiązków, aby umiała patrzeć na życie z podnioslejszego punktu widzenia jego spraw i celów. Wybitny pisarz Stendhal nie bezpodstawnie powiedział, że „synowie matki, która dzieła Gibbona i Schillera czytała, będą z konieczności innymi, niż gdyby tylko perły naszyjnika swego liczyły.“ Matki też powinnością jest umysł swój tak oświecać, aby rozumnie poglądając na życie, pojmowała jego zadania i odpowiednio do tego urabiała serca, kształciła umysły dzieci, tak synów, jak córek, bo córki te nietylko będą synów wychowywać, ale staną się towarzyszkami mężczyzny, życie z nim dzielącymi.

Przecież kobieta potrzebuje na własny życia rachunek życie to rozumieć — potrzebuje czuć i myśleć nie powierzchownie, aby w chwili zatargu z przeznaczeniem swoim, w chwili prób, na jakie często człowiek jest wystawionym, umiała stanąć po stronie sprawiedliwości. I nieraz też kobiety szlachetnego serca stawały na wyłomie postępu,

wiodącego w kierunku dobra i prawdy, naprzykład te amerykanki które poświęcały pióro swoje kwestyi niewolnictwa murzynów w Ameryce: M-rs Child, M-rs Stowe, czyż nie przekroczyły tak na pozór szranków kobiecie nakreślonych, jak Lukrecya Mott, która wśród krwawych starć w tym kierunku stanęła czynnie do współdziałania z mężami szlachetnego na życie poglądu?

Znaczna liczba kobiet idzie samotnie przez życie nigdy małżonką, ani matką się nie stając, i czyż by nie było już dla nich żadnego pola pracy społecznej? Siostra miłosierdzia, ratująca nędzę, opatrująca rany ludzkości, ma przed sobą szerokie pole zasługi, ale nie wszystkie kobiety mogą się podobnemu zadaniu oddać, tak jak nie wszystkie mogą, za pośrednictwem prassy poglądy swoje na życie wygłaszając, na życia tego kierunki oddziaływać, czyż więc tysiące pozostałych tu na stronie, nie do skarba ludzkości przynieść nie mogą? Przykład uczciwego, szlachetnie wiedzonego życia, to wielka siła i kto może to dać społeczeństwu swemu, już się dobrze zasłużonym staje, bo jest jakoby żywym drogowskazem, ukazującym ludziom, w którą stronę kierować im się należy, aby zająć tam gdzie powinno się stać nakazuje.

To, co nam się w obrazach życia, w obrazach spełnionego obowiązku przed oczyma ujawnia, odbija się na wyobraźni naszej, fotografując się na niej niejako, i z tych to odbić różnych wytwarza się zwolna świat pojęć naszych o życiu. To, co córka przez miłość dla rodziców, dla rodzeństwa, czyni, wyrabia w niej zdolność kochania, zdolność ofiarności, która idzie już z nią w życie i uczy być dobrą żoną, dobrą matką — dobrym we wszelkich kierunkach istnienia ludzkiego człowiekiem. Proces ten rozwijającej się siły uczuć powinien przecież zaraz u początków otrzymać mocny grunt tej zasady, że miłość szlachetnej istoty ludzkiej należy się tylko temu, kto jest szlachetnym, bo inaczej wytwarza się muszą u ognisk domowych tragedye okrutne. Żona z podniosłego punktu

uczciwych przekonań patrząca na życie i jego sprawę, cóż uczuje, gdy spostrzeże, że mąż jej zbacza z drogi prawej, że moralny jego poziom jest niskim?

Miłość, która z szacunkiem rozstać się musi, poniża nas i tylko szlachetnemu powinno się oddać serce kobiety szlachetnej; inaczej życie jej stanie się tragedią bolesną, wśród której przypadnie szczęście, a ona sama zejdzie z konieczności na poziom istnienia niski i męcząc się odczuciem tego, że poniżoną została, załamie nieraz ręce wołając z poetą: — Wstań ideale, bo cierpię... Ale ideał wszelkiego dobra i piękna duchowego rodzi się z uczuć i porywów własnego naszego serca i tak, jak szczęście, zstępuje do nas nie za pośrednictwem okoliczności życia, lecz wytwarza się z głębi naszego ducha, z jego własnej siły i energii. I wtedy-to serca podnoszą się w piersiach, wtedy wśród zakresu prac, dążących do celów wzniosłych ofiarniczego dla ludzkości poświęcenia, brakować nie będzie robotników i spokojnie rozwiązana zostanie kwestya ważna: różnicy zadań życiowych między kobietą a mężczyzną, bo będą z obu stron te szlachetne ducha ludzkiego porywy, pod których siłą człowiek staje na wyłomie obowiązku i spełnia pracowicie służbę swoją powinności.

M. I.

POGA WĘDKA.

— Dzień dobry panu...

— Dzień dobry, panil

— Niech pan siada.

Gość usiadł.

— Jakże zdrowie pani?

— Nie chorowałam wcale...

Pewne zmieszanie widzieć się dało na twarzy przybyłego.

— Prześliczny dzień mamy — odezwał się po chwili, rznając w okno spojrzenie.

Pani zaśmiała się, bo właśnie deszcz padał, od dni już kilku chmury nie schodziły z firmamentu niebieskiego, a że w okolicach Częstochowy upadł grad wielkości jaj strusich, jak o tem (bez przesady) doniosły dzienniki—za zimno było na miesiąc, w którym róże kwitną i śpiewają słowiki i sam gość, mówiący o prześlicznej pogodzie, przed chwilą jesienne palto w przedpokoju na kołku zawiesił. Ale rozmowa się zawiązała i popłynęła wartkim biegiem, jak strumyk górski, który z kamyka na kamień przeskakuje, tam piękny, pochylony nad jego falami kwiat musie, tu o piaszczysty brzeg uderzy i płynie dalej w najfantystyczniejszych zakrętach, przez różne okolice. I nie opamiętali się rozmawiający, jak jedna i druga godzina przeszła, jak o najróżnorodniejsze przedmioty potracili, gdy zrazu ta, obecnie tak rażąco prowadzona, rozmowa nie zupełnie im się kleiła.

Zaczęli o pogodzie i—dalej już poszło.

Wiadomem jest, że wszystkie, tak zwane towarzyskie rozmowy rozpoczynają się od pogody. Przedmiot zupełnie niewinny, a tak pożądany bywa w niektórych wypadkach, jak w tych naprzykład, gdy, albo rozmawiający za mało się znają, nie wiedzą więc o czem najwłaściwiej byłoby z sobą mówić, albo, gdy znają się za dobrze i prawie z sobą o wszystkim już przegadali, lub, w ogóle, gdy pewną trudność czują przy początkowym nawiązaniu rozmowy, wreszcie, gdy nie o wszystkim mówić im wolno.

W takich wypadkach wszelkie nagromadzone trudności zwyciężko usuwa—pogoda.

Co za wspaniałe wynalazek!

Najniższy wasz sługa, podpisujący się dwoma znakami zapytania, a znajdujący się w ostatnim wypadku — jak ów gość wyżej przytoczony—nie wiedziałby może, co robić z obowiązkową pogawędką z wami, gdyby nie ten cudowny wynalazek.

Pogoda!

Doskonałe!...

Zatem—pogoda jest prześliczna..

— Al' przepaszam.. W Częstochowie grad upadł wielkości jaj strusia i w dotkliwy sposób ochłodził powietrze.

— Prawda! zimno jest szalone...

— Ale cóż znowu! Obchodzimy się przecież bez futer a nawet nie wszyscy jesienne nakładają paltoty.

— No, to jakże? Ani zimno, ani gorąco, ani ciepło...

— Chłodno jest tylko i nie nadto...

— Zupełna słuszność — przyjemnie jest chłodno, a choć niebo z końca w koniec lekkimi pokryte chmurami, kto a kto, to pan Wyczółkowski na ono ukrycie się za mgły jasnego słońca nie gniewa się wcale, albowiem jego *Druid* przy tej posępności dnia występuje w całej potęgę swojej i piękności. Skamieniały w swem opuszczeniu i jakiejś dumnej boleści, owionięty niezmiernym spokojem i ciszą, rzucony na pustynię, której widocznie unika zwierzę każdy i ptak, deptany tylko przez obojętne stopy rzadkich przechodniów—nie może pragnąć zimnych promieni słońca, które by urągowskiem były jego męczarni. Mistrz pendzla to zrozumiał—i roztoczył nad nim i wkoło niego ogrom ciszy i pustki, i kazał chmurom w jeden płaszcz się rozciągnąć nad skamieniałym olbrzymem i poskąpił mu jednego rzutu światła, jednego blasku dalekiej nawet nadziei.

Znam arcydzieła pendzla, lecz nie znam arcydzieła, któreby tak przemawiało głębokością swej myśli do duszy, umiającego patrzeć i rozumieć, widza — jak *Druid* Wyczółkowskiego. Dzieło to nazwałbym śmiało epepeją.

Jeżeli widz przeciętny niezupełnie zrozumie myśl autora, że są filistry, którzy wruszają ramionami na widok tych gruzów, tych głazów omszonych, biorących na siebie kształt ludzki: to rzecz do przewidzenia była. Wiedział o tem i malarz, gdy mówił mi: niech tylko kilka serc mocniej zabije, patrząc na mojego *Druida*, niech dwóch, trzech wybrańców myśli moję zrozumie — a dość mi będzie.

I słusznie!

Czasem zawrotna droga jest myśli, nie każdy nią iść potrafi.

To też nie mała liczba ludzi przechodzi obojętnie przed wielkim obrazem, rzucając nań nieraz przelotnie tylko oczami. Jedni szukają *Druida*—i znaleźć go nie mogą, skamieniała postać nie wyłania się przed nimi z rzuconych samotnie gruzów; inni, po dłuższym wpatrzeniu się: al' ciche wymówią, ale co autor chciał przez te głazy zwietrzałe powiedzieć—nie wiedzą; niewielu, bardzo niewielu zatrzyma się przed dziełem mistrzowskim i nie tylko uwagę swą zwróci na mchy doskonale oddane, na wyborny rysunek kamieni, koloryt bez zarzutu i szczęty wielkiego posagu. Takich właśnie widzów miał malarz na myśli, tworząc dzieło swoje, przed takimi tylko odkrył głębie swej duszy.

Jak słyszeliśmy niedługo obraz Wyczółkowskiego będzie na wystawie u Krywulca, po dwóch już tygodniach ma opuścić ten salon wystawy. Dokąd się uda—czy do pracowni malarza czy zagranicę—nie wiemy, sądźmy jednak, że autor nie powinien mu poskąpić szerszego światła, a i o nabywcę na znakomite dzieło nie trudno będzie.

Bez tego obrazu smutno-by obecnie wyglądał salon Krywulca. Obejranych już sto razy, a małej wartości dzieł jest nie mało, nowości niewiele, a i te nie wybiegają nad granicę mierności, więcej ożywiony ma być salon wystawy *Sztuk Pięknych*, lecz do jego wnętrza nie miałem jeszcze czasu zajrzeć.

Nie zajrzą też na Pole Mokotowskie, na którym już rozpoczęły się wyścigi i totalizator więcej serce porusza niż *Druid* skamieniały! Czuję brak jakiegoś zmysłu, (przyznaję się do tego niedostatku w pokorze ducha) zmysłu, który dałby mi poznać cały urok wyścigowego sportu. Złośliwy, mógłby mi tu zrobić uwagę, że właściwie nie zmysłu jakiegoś mi brak, lecz ognistego „*Rolanda*“ lub lotnej „*Brunhildy*.“

Uczuwać i ten niedostatek — ale — ale... były

tam kiedyś *Rolandy* i *Brunhildy*, tylko amatorsztwa do tej skaczącej zabawy nie było.

— A totalizator?

— Ot, doprawdy, że wolałby furmańską grę w „guziki“ z wysoką stawką nawet, niż kuszenie losu w sposób tak lekkomyślny. Gra w „guziki“ wymaga bądź co bądź pewnej wprawy, zręczności — a tu los ślepy ma o mojej fortunie rozstrzygać. Nie oburzajcie się panowie zwolennicy totalizatora na takie chłopskie zdanie — ale przekonania swoich nie chowam w szesnastym pudełeczku, nie obuwiam w dziesięć płatków, mówię wprost — nie rozumiem, i dodaję — szkoda czasu i atlasu na rozrywkę podobną.

— Ty swoje, a my swoje.

— Wiem o tem!

Zatem idźcie panowie na wyścigi, rozsiadajcie się jak najwygodniej w łóżach, flirtujcie z pięknie postrojenymi damami: ja innego przedmiotu do swojej pogawędky szukać będę.

Przerzucam pierwszy z brzegu dziennik, szukam w nim wiadomości bieżących i oto wzrok mój spotyka bardzo smutny wykaz wypadków, jakim podlegają dzieci wiejskie pozostawione same, bez dozoru podczas zajęć połowych! Tam się dzieciak utopił w rowie błotnistym, tu oparzył się śmiertelnie, tam chatę spalił i sam zginął w płomieniach. Statystyka, w jednej gubernii Królestwa śmiertelnych wypadków wylicza setkę, a cóż już mówić o takich, które, nie kończąc się śmiercią, bodaj czy za sobą nie pociągają stokroć poważniejszych następstw.

Przesada! cóż groźniejszego jest od śmierci?

Dla padającego ofiarą osobnika, dla rodziny, śmierć jest najstraszniejszym wypadkiem, ale rzecz się ma inaczej, gdy na ich miejsce społeczeństwo postawimy. Śmierć jednostki bolesną być może, lecz jednostka żyjąca, a niedająca nic społeczeństwu, nie tylko jest dla niego, jako siła, stracona, lecz staje się ciężarem, istotą zabierającą odeń to, co innym z pożytkiem może być dane.

Wielkie kalectwo stokroć jest gorsze od śmierci.

A oto ta statystyka wypadków dziatwy wiejskiej, niemiłosiernie wskazuje, jak wiele kalectw, z powodu niedozoru nad maleństwem, to maleństwo spotyka. Wykluwają sobie oczy, wykręcają ręce i nogi, łamią krzyże i czaszki rozbijają. Jeżeli śmierci z wyżej wymienionych przyczyn na jedną gubernią Królestwa sto rocznie przypada — w trójnasób tyle będzie nieuleczalnych kaleceń. A za tem idzie niedostatek, nędza, żebractwo pod kościołem. Słowem ciężar, które społeczeństwo w imię miłosierdzia dźwigać jest obowiązane. A wieleż to dramatów odegrywa się w rodzinie włościańskiej, z powodu takiego darmożjada, który Bogu ducha winien. Wykrzywiony potworek nie cieszy się względami rodziców, ani — pasącego choćby gąski — rodzeństwa. Barłóg ma za posłanie, resztki strawy, jeżeli się ta na dnie garnka znajdzie — za pożywienie dzienne. Nazywają go *karą bożą*, a siniazków na swoich pogiętych plecach nie zliczy. Zdrowi i silni zapracowali na grunt i chatę — ślepiec czy umysłowy niedołęga, bezręki lub beznogi — nie ma prawa do darów bożych. Zmęczony obejściem się, sam przed sobą upokorzony, nie widzi innego ratunku, jak w żebrzy ruszyć. I zapelniają się podobnemi włóczęgami miasta i miasteczka, miłosierdzie otwiera swój worek, a ziemia traci jednego więcej gospodarza, fabryka robotnika, społeczeństwo pożytecznego członka i grosz na utrzymanie nędzarsza rzucony. Czy niema rady zapobiedz temu nieszczęściu wyręczyć w jaki sposób matek w pocie czota pracujących na roli, które drobiazg swój, nolens volens, muszą na łaskę Opatrzności zostawiać? Nie można uratować życia setkom ludzi na raz, od kalectw ochronić już tysiące, zmniejszyć pożary, niszczące corocznie rodzin tyle?

W swoim czasie zwracaliśmy już uwagę na przedmiot dziś znów potrącany. Przemawialiśmy wtedy do dworów, w których wychowują się panny, niewiedzące częstokroć same czem czas zabić, narzekające na nudy wiejskiego życia, wzdychające do murów wielkiego miasta. Podsunęliśmy im nieśmiało myśl zajęcia się tą

opuszczoną dźwiatwą wiejską, nadmieniając przytem o ich wpływie moralnym na ludność wiejską, o pewnym węzle, jaki tym sposobem zadzierzgnąłby się między starszą a młodszą bracią, zresztą i o społecznym obowiązku, od którego nikt niema prawa usuwać się. Pamiętamy, że nawet mieliśmy w tym przedmiocie długą rozmowę z pewną młodą osóbką, utyskującą na monotoność życia wiejskiego i brak wszelkiego zajęcia. Młoda osoba zapaliła się do myśli rzuconej przezemnie — postanowiła zrobić krok pierwszy i zająć się tą opuszczoną dźwiatwą, a zarazem donieść mi o swoim przedsięwzięciu już w czyn zamienionem.

Oczekiwałem listu.

Niestety — oczekiwałem napróżno!

Niewiadomy mi był powód milezenia, odtrącałem natrętą myśl, która mi wciąż szeptała o zamiłowaniu naszym — w słomianym ogniu. — Wolałem wszystko najgorsze przypuszczać, byleby nie to.

Nie ja pierwszy i nie ja ostatni byłem, który chciałem widzieć wiejskie panienki nasze opiekunkami dźwiatwy wiejskiej. Ale widać ten społeczny obowiązek jest nad ich siły — woła się nudzić i wzdychać do murów wielkiego miasta. Łudzimy się jednak nadzieją, że gdzieś się dzieje inaczej, że gdzieś zrozumiany został ten krok doniosłego znaczenia.

Tymczasem głos nowy, nową radę podaje:

Zaradzić złemu mogłyby jedynie ochrony wiejskie dla tych dzieci których rodzice zmuszeni są pracować po za domem. Ochrony takie możnaby otworzyć w każdej wsi, a nawet bardzo małym kosztem. Zdaje nam się — mówi projektodawca — iż utrzymanie ochrony nie kosztowałoby więcej nad jakieś rs. 100, potrzebne na opłacenie dozorczyńni. A możnaby i ten wydatek usunąć, urządzając w ochronie kolejną dyżury matek, które napewno z większą ochotą zgodzą się stracić jeden lub dwa dni robocze na miesiąc, niż dziecko własne. Lokalu na ochronę nie byłoby potrzeba wynajmować, możnaby bowiem zbierać dzieci w izbach rodziców także po kolei.

W urzędzeniu ochron takich — kończy projektodawca — widzimy jedyną radę zapobieżeniu złemu, życzyć przeto należy, aby projekt ten co prędzej w czyn zamieniono, gdyż każdy dzień zwłoki nowe ofiary pochłania.

Bal powiedziec to łatwo: zamieńcie myśl w czyn! Ale kto się tem zajmie? Czy najęta dozorczyńni, której wypłacać-by przyszło setkę rubli, czy kolejno jedna z kobiet wiejskich spełniać będzie tę rolę opiekunki, w każdym wypadku *ktos* musi jeszcze — dozor — mieć nad owemi opiekunkami i ten *ktos* wymownym być musi, by o pożyteczności tego rodzaju instytucji przekonać, nie lubiący wszelkich nowości, umysł wieśniaczy. I ten *ktos* nie na bruku miejskim ma się urodzić, lecz na wsi, a znać powinien lud, jego zwyczaje i obyczaje i umieć przemawiać. Tu znowu zwrócić się musimy, do niewiedzących co z czasem robić, panien zamieszkałych w dworach wiejskich. Projekt powyższy bardzo niewiele wymaga od nich: trochę serca, trochę dobrej woli i małą godzinkę dziennie poświęconą dozorowi dozorczyńni. Oczekujemy z niecierpliwością pierwszego kroku w tej sprawie, a wierzymy, że nie zbraknie jeszcze u nas ni sere dobrych, ni woli, ni tej godzinki małej.

Gdy ci, którym los opuszczonej dźwiatwy włościńskiej na sercu leży, starają się o polepszenie jej doli; gdy u nas krzątają się około rozprze-strzenia kolonii letnich, by słabowite dzieci mogły napęłnić schorzałe płuca swoje powietrzem zdrowym — ogół, szczególnie ten ogół miejski, bez względu już na dobrobyt, czuje się dziwnie zdenerwowanym i wyniszczonym fizycznie. Doznajemy pewnej przykrości, patrząc na młodzież należącą do klas różnych społeczeństwa: twarze przeważnie wybladłe, wzrost mały, a mięśni i muskułów nie szukaj. Pomijamy tu młodzież uczącą się, która z powodu przeciążenia umysłową pracą nie ma czasu oddawać się fizycznym ćwiczeniom — ale nawet, ta dawniej dziarska, czeladź rzemieślnicza od dłuta i kopyta, nosi na sobie piętno przedwczesnego zwiędnięcia.

Wiadomem jest że ćwiczenia gimnastyczne, prowadzone pod umiejętnym nadzorem rzeczo-

znawcy, wypełniają pierś wpadłą, słabym mięśnionom dodają jedności i siły, a wzbudzając szybszy krwi obieg, przyczyniają się do szybszej przemiany materji, do wypełnienia organizmu nowszą i zdrowszą krwią. Powoli, bardzo powoli zakłady gimnastyczne zaczęły się u nas rozpowszechniać i doskonale rezultaty wydawać. Ci, którzy się udali pod umiejętnę kierownictwo nauczyciela — dobrem zdrowiem i wytrzymałością się cieszą; próba uczniów z zakładu p. Pieńkowskiego, jaka się odbyła d. 8 Maja, powie nam coś o tem. Oto podajemy szczegółową relacją z tej pieszej wycieczki gimnastyków.

Dnia 8 Maja uczniowie p. Pieńkowskiego, w liczbie 20, pod przewodem samego nauczyciela, o godzinie 7 rano udali się ze skweru na Krak.-Przedmieściu na pieszą majówkę do Miłosnej. Za rogatkami Grochowskiemi uszykowawszy się w kolumnę zwartą, ruszyli szparkim krokiem, robiąc wiorstę w minut 10, co, mówiąc nawiasem, jest zwykłym chodem gimnastyków ze szkoły p. Pieńkowskiego. Po przejściu 7-miu wiorst przystąpiono do 4-ro wiorstowego *recordu* marszem, chcąc się przekonać, ile czasu to im zabierze. Z liczby pięciu panów dwóch się wycofało z powodu nieodpowiedniego obuwia, z pozostałych zaś największą szybkość osiągnął p. Wład Benzeł, przechodząc 4 wiorsty w 29 m. 20 s., drugim był pan Aszof w 29 m. 35 s. i trzecim p. Lehman w 30 m. 25 s.

Na dziesiątej wiorście po śniadaniu nastąpiły zapasy, dźwiganie i rzucanie ciężarów, przepychanie kijami, chodzenie na szczyndlach, i t. p. zabawy atletyczno-gimnastyczne, utrwalone zdjęciami fotograficznymi przez jednego z uczestników. O g. 11 przystąpiono do drugiego *recordu* t. j. do biegu na przestrzeni jednej wiorsty. Rezultaty były następujące: P. P. Benzeł 3 m. 58 s., Stragul 4 m. 8 s., Aszof 4 m. 12 s., Tyliński 4 m. 14 s., Kierski 4 m. 25 s., Majewski 4 m. 26 s., Niewiedzielski 4 m. 38 s. i Madlewski 4 m. 46 sek.

Po krótkim wypoczynku w zwartym szyku ruszyła dźwiatwa Herkulesa naprzód, łamiąc po drodze kolumnę w przeróżny sposób t. j. ćwiczone się na sposób wojskowy, nie zmniejszając prędkości kroku ani o jedną minutę. W samej Miłosnej, na pięknej polanie w ciągu dwóch godzin bawiono się w palanta, następnie urządzono ostatni szybki wyścig na 400 kroków, zakończony zwycięstwem p. Benzefa, który rzeczoną przestrzeń przebył w 29 s. O g. 6½ ruszyło grono gimnastyków z powrotem do Warszawy i w wojskowym ordynku o 9-iej wieczorem stanęło w murach miasta. Tak więc zrobiono przeszło wiorst 30, a dodać należy, że przedtem nikt z uczestników ani w chodzie ni biegu nie trenował się, że rekordy były wykonane prawidłowo i ściśle kontrolowane przez p. Pieńkowskiego i — że biorący udział w wycieczce są ludzie pracy, którzy nazajutrz na stanowiskach swoich być muszą.

Teraz pytamy: czy ta wytrzymałość w biegu i marszu nie dowodzi zdrowia, pożytku atletyczno-gimnastycznych ćwiczeń i czy nie dobrze świadczy o p. Pieńkowskiego zakładzie?

Odwrocił się żywo.

— Czy życzysz sobie tego, matko? — spytał.

— Bardzo — odparła — Kocham Halinę i Bielowskiego szanuję. Rzadki to już u nas typ prawdziwego obywatela i rozumnego arystokraty.

— A tak, serce na dłoni, kieszeń otwarta... — szepnął Stanisław, uśmiechając się. — Hala, bardzo podobna do ojca.

Wzrok jego pogonił znów ku oknu i utonął w przestrzeni. Matka popatrzyła na niego: zeszczupłał i zmienił się bardzo w ciągu ostatnich miesięcy. Tęsknota za Lilą pożerała go. Z listów p. Bielowskiej, pisanych w ciągu zimy do Haliny, wiedział o sukcesach Lili i zaręczynach z hrabią. Cierpiał okropnie. Matka to widziała, udawała jednak, że nie zwraca uwagi, i nie pytała o nic.

— W każdym razie lepiej, że się tak stało — myślała z pewną ulgą. — Życie z Lilą byłoby sto-kroć okropniejsze.

Stanisław był innego zdania. Dla niego, z utratą Lili, wszystko się skończyło. Gospodarował wprawdzie, bawił się z Haliną, pieścił matkę, ale robił to dlatego, by uniknąć pytań i nie wywoływać współczucia. Czynił to tak zręcznie, że Halina, która całą zimę spędziła w Kamieńcach, nie domyślała się niczego. Gdy odeztywała głośno listy matki nadchodzące z Paryża i imię Lili powtarzające się w nich dość często, Stanisław odwracał się zręcznie i ukrywał w cieńnię twarz bladą i ból, który ją piętnował. O! on nie zapomniał; czy to podczas słotnych je-siennych nocy, czy w długie wieczory zimowe, myśl jego gonila bezustannie ową czarodziejkę, która zabrawszy mu serce i spokój, frunęła w świat, nie powiedziawszy mu nawet „do widzenia“.

W Bielowcach oczekiwano świąt i przybycia Kamienieckich — z rozmaitemi uczuciami. Hala śpiewała całymi dniami, krzątała się po domu, by wszelkie możliwe wygody ukochanym gościom zapewnić.

P. Józef, z gazetą w rękach, od polityki, która go niesłychanie zajmowała, zwracał się do żony i córki z napomnieniem.

— Moja Klociu, proszę cię, nie wymyślaj tam żadnych paryżkich delikatesików. Kamieniecka tego nie lubi. Święcone — i basta!

— Ale owszem, owszem — odpowiadała p. Klotylda, kwaskowato się uśmiechając.

— Będziecie mieli i tradycyjne prosię i tradycyjne jajko... Zabawny jesteś *mon cher* z manią konserwowania przestarzałych zwyczajów.

— Nie widzę w tem nic zabawnego, moja droga — odparł mąż, nieco dotknięty — przykro mi słyszeć z ust swoich takie słowa.

— Oszczędź mi uwag, *mon ange* — przerwała kwaśno p. Klotylda. — Oboje z Haliną powaryowaliście na punkcie kuchni i przestarzałych zwyczajów. *C'est malheur*, że ty, *mon cher*, taki zacofany jesteś. Ztąd i przewrócona głowa u Haliny i maniery, i sposób wystowienia tak różny od tonu w jakim młoda panna na jej stanowisku trzymać się powinna. Przy takim stylu wychowawczym Halina z pewnością starą panną zostanie.

— No, no, niema obawy o to, — rzekł ojciec, patrząc z uśmiechem na zarumienioną twarz córki. — Może się i kto znajdzie dla tej panienki. Tyłem razy cię prosił, naprzykład, abys mi nie „anzowała“ i nie „szerowała“ i jak umiałaś przy ołtarzu rzec mi: „biorę sobie ciebie, Józefa, za małżonka i t. d.“ to i teraz nie krztus się tem imieniem i nie zastępuj jakimiś „anzami“, których znieść nie mogę. Spójrzyj na mnie, Kloteczko. Choćbym nie wiem jak życzył sobie tego, żadnego chyba „anza“ przypominać ci nie mogę.

P. Klotylda wzniosła w górę ramiona, z miną męczennicy.

— Nie jesteś zbyt uprzedzającym, *mon cher*, mówi patetycznie. — Ale czyż można czego innego wymagać? Stajnie, gorzelnie, nie polerują chyba ludzi... Gdybyś spędził rok chociaż w Paryżu...

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDE GROT BĘCZKOWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

XV.

— Czy pojedziemy na święta do Bielowskich, Stasiu? — pyta p. Kamieniecka stojącego przy oknie syna.

— To-bym stracił gorzelniany polor, przynaję, ale i setki setek rubli z kieszeni i humor i zdrowie. Dziękuję ci, moja droga, za szczytną myśl polerowania mię w ten sposób—odpowiedział podrażniony Bielowski.

Hala przeczuła sprzeczkę; chcąc ją zażegnać, uwiesiła się u ramienia ojca.

— Który pokój przeznaczają ojezulek dla kuzynka Stasia? spytała, patrząc mu w oczy z przymileniem.

Ojciec pogłaskał ją czule.

— A cóż to panienkę obchodzi? — pyta filuternie.

Splonęła rumieńcem.

— Jako vice-gospodyni... — szepnęła.

— No, dobrze, dobrze, znamy się na tem—śmiały się żartobliwie ojciec. — Już to tam coś jest z tym Stasiem; to nie bez powodu takie rumieńce...

— Dajcie pokój! — skrzywiła się p. Klotylda. — Niema sensu. Halina taka młoda jeszcze!

— I nie polerowana—zaśmiały się p. Józef. — Co też Staś o tem myśli, Halinko?

— Nudny jesteś z tym twoim Stasiem — przerwała p. Klotylda z niechęcią. — Twój Staś, to znów nie taka świetna partya dla Bielowskiej. *Entre nous soit dit*, wolno mi chyba żądać, aby córka urzeczywistniła marzenia matki. Nie zapominaj *mon cher*, że poprzestając na twojem szlacheckiem nazwisku, poświęciłam siebie; muszę być więcej wymagająca, gdy idzie o Halinę.

Plomień rumieńca przebiegł po twarzy Bielowskiego. Nie pierwszy to raz, z wrodzonym sobie brakiem delikatności, żona dawała uczuć mężowi, ile poświęciła dla niego. Kochał ją, więc wzajemnie nie odpłacił przypomnieniem, że arystokratyczna córka arystokratycznego domu oddała mu swą rękę, zmuszona majątkową ruiną rodziców, i że on, kochając ją, najpiękniejsze dwie wsie z Bielowskiego klucza dla uratowania ich poświęcił.

Za często mi to powtarzasz, droga żono — rzekł przykro dotknięty—ażebym Halka miała płacić długi ojca, na to się nie zgadzam. Coś zrobiła, zrobiłaś dla mnie; Halka wybierze tego, dla którego będzie miała szacunek i sympatyę. Zresztą... co tu o tem mówić! Rozprawialiśmy przecież o tradycyjnym jajku...

Uśmiechał się, ale Hala, namiętnie kochająca swego ojezulek, widziała, że jest dotknięty, i z pewnym wyrazem niechęci spojrziała na matkę; Nie rozumiały się one wcale. Arystokratyczne tony p. Bielowskiej nie trafiały do serca córki. Halina piękność jedynie odziedziczyła po matce; szczyry, otwarty charakter, szlachetny umysł i poczciwe serce wzięła od ojca, którego też, jak w skrytości serca przyznawała, stokroć więcej kochała od matki. Trudno-bo było, co prawda, przywiązać się głęboko do istoty, chłodnej, miłującej siebie nadewszystko, pełnej excentrycznych wymagań.

Święta nadeszły, suche, ciepłe. Powietrze pełne już było wiosennych woni, zieleniła się młoda trawka, uśmiechało pogodne niebo. I Halina śmiała się do wszystkiego. Miała przepelnioną szczęściem duszę, i to wewnętrzne rozradowanie podwyższało jeszcze urok jej piękności.

— Cioteczka pamięta, jak mię psuła w Kamieńcach — mówiła, tuląc się pieszcotliwie do ciotki, bawiącej od dni paru w Bielowcach.

— Ach, jak mi tam dobrze było!

Matka chłodne spojrzenie zatrzymała na rozpromienionej uczuciem twarzy córki.

— Mówiła mi coś o tem mademoiselle Berta — rzekła. — Awanturowałaś się na swój zwykły mieszczkański sposób z kurami, kaczkami, indykami, idealizowałaś baby wiejskie i zamorusane dzieciaki.

— Nieszkodliwy to sposób awanturowania się — rzekł p. Bielowski, uprzedzając odpowiedź Kamienieckiej.

— Szanowna kuzynka byłaś matką prawie dla naszej dziewczyny—dodał, zwróciwszy się do niej z uczuciem prawdziwego szacunku i przywiązania—Hala z rozrzewnieniem przebyta w Kamieńcach chwile wspomina.

— Z wyjątkiem owej niefortunnej wycieczki i następstw, jakie wywołała — szepnęła Stanisława Halinę.

Spojrzenie jego, zwrócone ku niej w tej chwili, miało dużo ciepła i braterskiego przywiązania.

Stali obok siebie, oddaleni nieco od reszty towarzystwa.

— O nie, nie — zaprzeczyła żywo, podnosząc nań oczy, takie promienne, że Stanisław uderzony został ich wyrazem.

— Jakto, nie? — pyta. — Musiałaś leżeć w łóżku, zamiast fruwać po ogrodzie razem z motylami, przyjmować doktora i lekarstwa... To są rzeczy niezbyt przyjemne...

— Ale miałam przecież cioteczkę przy sobie — odparła. — I ty, kuzynku, byłeś taki dobry!.. Dla mnie pobyt w Kamieńcach był rajem szepnęła naiwnie.

Stanisław spojrział na nią badawczo. W tej dziewczęcej różowej twarzy uderzyło go coś, czego nie widział dotąd. Jakaś myśl głęboko leżała na czole; moc uczucia odbijała się w oczach.

— Teraz dopiero widzę, jak ty się zmieniłaś w ciągu ostatnich miesięcy, Halinko — rzekł. — Mama i p. Berta nie twierdzą już chyba, że jesteś: „tu za duża, tam za mała“. Pamiętasz? Ubawiłem się wtedy serdecznie, gdyś mi przy powitaniu opowiadała swoje kłopoty.

— E! — machnęła ręką. — Wiem o tem, że jestem już dorosłą. Ojezulek powiada, że mogłabym już...

Nie dokończyła. Fala krwi uderzyła jej do twarzy, spuściła oczy.

Stanisław bawił się jej pomieszaniem. Domyślił się, że z wrodzoną sobie żywością powtórzyć chciała słowa ojca, i nagle wstydlivość powstrzymała ją.

— Co ojezulek powiedział? — pyta, zaglądając jej w oczy. — Proszę mi powiedzieć.

Milczała i płoniła się coraz więcej.

— Czy wolno mi odgadnąć?

— Nie... nie! — złożyła błagalnie rączki. — Proszę nie nie odgadywać!..

— Nie powiem nikomu — zapewniał, żartując dalej. — Nikomu! nawet Rolskiemu. Chociaż powiem ci na uszko, Halu, że dużo... dużo-by dał za to...

W twarzy Haliny zaszła nagle zmiana. Zamiast uroczego zakłopotania, odbiła się na niej powaga, a w szafirowych oczach — wyraz niemal zaciętego uporu.

— Dlaczego, kuzynku, mówisz mi o Rolskim? — spytała. — I ciocia i mama i p. Berta nawet, uwzięły się, by mnie nim prześladować; a jam wtedy taka zła...

— Nie wierzę — rzekł Stanisław. — Moja kuzyneczka gniewać się nie potrafi. Cóż ci zresztą biedny Rolski zawinił? Takie uczucie, jak Lucyana, dużo jest warte — dodał poważnie — kocha cię głęboko.

— Nie mię to nie obchodził! — zawołała podrażniona. — Ja nie chcę, żeby mię kto kochał!..

— A to osobliwsza rzecz! — zaśmiały się Stanisław. — Nie możesz przecie nikomu tego zabronić i ostatecznie nic ci to nie przeszkadza.

— O, przepraszam! Słowo „kochać“ ma znaczenie poważne — odparła. — Gdy odczute wzajemnie, posiada nieprze partą nad nami władzę, całe nasze życie szczęściem opromienia. Ale kochać bez wzajemności, jaki ból.. jaka rozpacz i serce i duma cierpią razem; tysiąc razy zapieramy się tego uczucia, chcemy je wydrzeć, zagłuszyć... napróżno. I dlatego ponieważ nie kocham sama, nie chcę, aby mnie kochano. Po co ktoś cierpieć-by miał z mej przyczyny?

Stanisław patrzył na nią zdumiony.

— Bardzo pięknie powiedziane — rzekł. — Jak ty na wszystko poważnie patrzysz, Halu! Nie widzę jednak przyczyny, dla której Rolskiemu nie wolno byłoby kochać cię, kuzynko. Przypuszczam, że miałby pełne prawo spodziewać się wzajemności. Znam bardzo wiele panien, któreby z chęcią wyszły za niego.

— Taak?..

Śliczny grymas pojawił się na ustach Haliny.

— Nie przeczę; jest bardzo piękny, bardzo miły, bardzo dobry, bardzo sympatyczny...

— A więc — przerwał Stanisław. — Jakżem rad z tego! Lucyana jest moim serdecznym przyjacie-

lem, prawie bratem. Wiem, że kocha cię bez granic!..

— O! nie pozwolę ci skończyć, kuzynku! — przerwała Halina. — Chciałam dodać jeszcze, że mimo tych zalet, jakie mu przyznaję, p. Rolski wcale mi się nie podoba.

Stanisław spojrział na nią zdumiony. Miała spuszczone głowę i oczy rzesami nakryte. Rumieńce znikły, usta lekko drżały...

— Halu? Co to?.. Widzę, że wyrządziłem ci przykrość — rzekł, pochylając się ku niej. — Przebacz mi! Anim przypuścił, że cię rozgniewam. Zresztą sądziłem, że to już rzecz prawie ułożona. Rolski bywa tak często... rodzice tego pragną...

Teraz już naprawdę łyzy zawisły na ciemnych rzesach dziewczęcia.

Jak on może prześladować ją Rolskim, kiedy wie, że... że...

Tłumione wzruszenie przyspieszyło jej oddech... Cały salon kręci się z nią wkoło. Nie widzi lodowato przeszywającego spojrzenia matki, ani smutnego wzroku p. Kamienieckiej, nie słyszy nawet, że ojezulek ją woła.

Stanisław ujął rękę dziewczyny.

— Mała panienka kaprysi — rzekł tklawie — zadawała się, a sama nie wie o co. Mademoiselle Berta skorzystałaby zaraz z ok oliczności i usłyszeliśmy niewątpliwie...

Zmienił głos i dodał przedrzeźniając.

— *Mam'selle Helène, grand Dieu! comme vous êtes..* Roześmiała się dziewczyna głosem srebrzystym.

— Nie kończ, nie kończ, kuzynku — szepnęła. — Już wiem, umiem na pamięć wszystkie przymiotniki i rzeczowniki, jakimi mię obdarza nazbyt hojnie.

Rozweseliła się, bo Stanisław patrzył na nią tak czule — trzymał rękę i... młodość tak łatwo wierzy!..

— Burza minęła szczęśliwie — żartuje Stanisław, z przyjemnością obserwując dołeczki na bródce i policzkach Haliny. — Nawet błękit oczów jaśniejszy... Ale mała panienka umie się gniewać...

Gniewać? — O jakież to piękne oczy spojrzęły teraz na niego! Takie słodkie i dziwnie pokorne. — Gniewać się na ciebie, kuzynku, nie potrafiłabym nigdy — zapewnia Hala z przedziwną otwartością. — Nigdy! — dodaje z mocą i patrzy mu prosto w twarz, i nie wie, że całą tajemnicę dziewczęcego serca, zdradziły w tej chwili szafirowe, błyszczące gwiazdy.

— Co jest Stasiowi? — pyta wieczorem p. Bielowski, widząc niezwykle bladą twarz Stanisława, stroniącego widocznie od towarzystwa.

— Nie wiem — odpowiada p. Kamieniecka, wie jednak dobrze. Spodziewała się tego, że przed jej późniejszą Halą się zdradzi, a on cierpieć będzie, iż mimowolnie zakłócił jej spokój.

— Czemu kuzynek taki smutny? — pyta Halina, próbując go rozweselić. — Może co zaśpiewać? — Wszak lubisz śpiew?

— Lubię — odparł poważnie i z udanym chłodem. — I jeśliś łaskawa...

Poprowadził ją do fortepianu, ale gdy śpiewać zaczęła, usiadł przy p. Bielowskim i ożywioną zaczął z nim rozmowę.

Hala, z marszem na czole, wstała od fortepianu. Zamyśliła się smutno.

— Ten Staś... taki zawsze grzeczny i uważający dziś jest dziwny jakiś... co to znaczy?

Nie truduła go już więcej rozmową; była podrażniona i smutna. Popłakała nawet trochę, gdy się sama w pokoju swoim znalazła. Wytłomaczyła sobie jednak wkrótce postępowanie jego, jak sama chciała, i przeświadczenie, że jutro zobaczy Stanisława takim, jakim był dawniej, uspokoiło ją. Zasnęła, marząc o nim, i przez sen jeszcze uśmiechała się do swej miłości, szepcząc imię ukochanego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z AMERYKI.

Chicago.

Ktoby zapragnął napisać psalm nowożytny o znikomości rzeczy ludzkich, niech przybywa tu do nas patrzeć, jak burzą tutaj przy bardzo poosepnem usposobieniu budynki wystawy, które wznoszono z dumą i wyniosłe wesołem obliczem. Wystawa nie przyniosła zysku nikomu; gmina miasta traci 5.000.000 dolarów, którą to sumę poręczyła akcyonaryuszom i wypuściła na nią obligi, obecnie nie zgoda nie warte. Budynki wystawy stoją jeszcze, odbijając się wspaniale w zwierciadle wód jeziora Michigan; zarząd miał je usunąć przed dniem 1-go Maja, ale nie przyszło do tego, bo koszt byłby niemały i zarząd musiałby wydać z jakie 40.000 dolarów. Teraz dopiero żałuje, że przynajmniej miasto nie wznosiło gmachów trwałych, któreby mogły służyć do muzea i tym podobne zakłady użytku publicznego. W tych dniach oto wszystkie te budynki sprzedane zostały ogółem przez komisarzy rządowych za nędzną stosunkowo sumę, bo 75.000 dolarów, z wyjątkiem tylko trzech gmachów najwspanialszych: pałacu sztuki, który jest własnością towarzystwa posiadającego Museum Field, oraz historycznej pamięci klasztor Rabida i pałac leśnictwa, mieszczący bardzo ważne zbiory.

Jeden z członków tow. „University Settlement,” to jest stowarzyszenia profesorów i studentów uniwersytetu nowożytnego, świeży przybysz z Europy, napisał, że „Stany Zjednoczone jest to państwo nie tylko niezmiernych przestrzeni, w którego obrębie, nie tylko lato jest gorętszym a zima silniejszą, niż w Europie, ale i starzy są młodszy, a młodzi starszy; że jest to kraj, który nie umie być ojczyzną ludzi, a jest tylko ich siedliskiem, gdzie się je i śpi, gdzie dom jest uchroną od deszczu i mrozu.” To też majątki dochodzą przy takim nastroju rzeczy do rozmiarów kolosalnych, ale jest i nędza ogromna, bo zaczyna już brakować pracy dla tych, którzy się tu cisną ze wszystkich stron świata, marząc o niezmiernych przestrzeniach łąk i niw, których nie znajdzie tu nikt, jeżeli nie chce iść na wygnanie w pustynie dzicych pierwotnych.

Zawijają się, na szczęście, najrozmaitsze związki i stowarzyszenia, tak męskie jak kobiece, które śpieszą tu z pomocą przybyszom, dostarczając sposobów i środków do pracy. Kobiety opiekują się kobietami, otwierają dla nich wyłącznie urządzone szwalnie, pralnie, dostarczają obok tego zamężnym i matkom dzieci roboty do domów; ale przy takich, jak obecnie, falach emigracji z Europy środki muszą się wyczerpać, i dzienniki urzędowe ogłosiły, że jest obecnie w Zjednoczonych Stanach Ameryki piętnaście milionów ludzi, którym braknie pracy. Jeszcze człowiek silnej budowy, rolnik, naprzykład, może się jąć cepów, koś, stanąć przy kole maszyny, i zarobi sobie na życie, a jeżeli posiada jaki zapasik grosza, liczyć może, że prędzej później zdoła stać się właścicielem fermy wśród nowo-zaludniającego się przestrzeni; ale kto tego nie potrafi—kto panicz jest, lub wychowaniec miasta, nie łatwo sobie chleba znajdzie. Biedacy, zerwali wszystkie węzły, które ich łączyły z tem, co każdy człowiek za najdroższe swe dobro uważa — rzucili kraj, rodzinę, stosunki, z którymi się zrosli, aby iść na pracę stokroć cięższą pod obcym niebem, między obcymi ludźmi! Niejeden nawet, dorobiwszy się takiego mienia, które w kraju uważałby sobie za majątek, spostrzega, że nie jest bynajmniej człowiekiem zamożnym, bo tryb życia zgoda tu inny. Mając dwadzieścia tysięcy franków rocznego dochodu, nie może otrzymać za to nawet w przybliżeniu tego dobrobytu, jaki za połowę tego miałby w kraju.

Rodzina, posiadająca 20.000 franków, licząc na europejską monetę, nie może prowadzić u siebie gospodarstwa, mieć własnego mieszkania i sprzętów swoich, służącej własnej: mieszka w poko-

jach wynajętych z meblami, stołuje się w hotelu, i niema tu tego ogniska rodzinnego, przy którym jest tak ciepło i zaciszno człowiekowi—gdzie dziecko rośnie, kształcąc się według tego, co jest ideałem rodziców, bo w wirze takiego życia hotelowego oddaje się też dzieci co najwcześniej po za dom, na pensyę. Czy wobec podobnego układu stosunków rodzinnych istnieje rzeczywista rodzina, z temi wpływami, z temi urokami, które stanowią najprawdziwsze, najstalsze szczęście na ziemi?

Muszą się też tworzyć instytucje, któreby przychodziły z pomocą; pensjonatów wychowawczych jest tu mnóstwo i ledwo dziecko odróżnie od ziemi, już je tam oddają i wyrabiają się wprawdzie przez wychowanie charaktery silniejsze, ale serce, nie rozbudzone do uczuć tkliwszych, chłodnym się staje. Wyobraźmy sobie taki naprzykład zakład wychowawczy w Nowym-Yorku, w którym mieści się obecnie osiemdziesiąt panien, wszystko córek takich krezusów, że posagi ich razem wzięte przedstawiają bajeczną dla nas sumę 82 milionów dolarów. Jaki tu jest legion nauczycielek i nauczycieli, nie wiem dokładnie; na czele stoją dwie poważne już wiekiem damy, bo tak je nazwać trzeba wedle ruchu, stroju i układu całego: Marya i Joanna Ely, córki zbankrutowanego przed laty przemysłowca milionera. Pensya mieści się w pałacu ze wspaniałą fasadą, wspaniałą bramą wjazdową, bo tu nikt pieszo nie przybywa, a jaki jest tu zbytek, jaki komfort!—i nikt też nie powie rosnącemu do życia dziewczęciu, że są życia tego zadania ciężkie — obowiązki do spełnienia, prace, z których za żadne skarby świata nie może być wyręczenia. I w Europie dzieci bogaczy chowają się zwykle w wygodach zbytkowych, i w Europie nieczęsto otrzymują takie przygotowanie do życia, aby umiały cenić jego wartości prawdziwe—te które im nigdy odebrane nie będą; ale stare tradycje rycerskich czasów, stare tradycje tego dorobku wiedzy, nabywanej w samotnych celach klasztorów, w pracach myśli, łamiącej się ze sobą samą: wszystko to złożyło się na pewne podniesienie pojęć o życiu, których brakuje szerszemu ogółowi Amerykanów. Jeden naprzykład z filantropów tamtejszych Roderyk Kennet, napisał i wydał świeżo książkę „Kredyt sercowy”, która nam, wychowanym wśród pojęć innych, wydałaby się co najmniej czemś dziwnym.

Człowiek potrzebuje oparcia się sercem w serca ludzkie, bo w życiu jego jest tysiące chwil ciężkich, w których ręka bliźniego powinna go wesprzeć, przyjść z pomocą woli dobrej. Ale taka przyjaźń, miłość nawet, od jakiej żądamy tego, nie zawsze jest gotową do ofiary, do trudu, jaki tu ponieść trzeba. Przytem jest już w tem samolubstwo ukryte, że świadczymy to zwykle tym, których kochamy i póki kochamy. Aby podnieść z jednej strony uczucie niesamolubnej miłości bliźniego, z drugiej nie narażać człowieka na to, aby, ze względów na samego siebie, odmawiał pomocy potrzebującym, należałoby obowiązek pomocy bratniej ująć w formy stałe. Każdy członek społeczeństwa powinien w miarę mienia swego złożyć jakiś grosz ofiary na urządzenie biura pomocy bratniej, do której każdy czegoś potrzebujący uciekałby się, jak do przyjaciela, w potrzebie każdej, poczynając od rozrywki, która umila nam życie, aż do rady dobrej w chwili niepewności jakiejś—w chwili, gdy nam potrzeba swata, towarzysza podróży. Kredyt sercowy zapewniłby więc każdemu ze stowarzyszonych poieciech duchową, czy potrzebną radę dobrą, pochodzącą od rozumnego psychologa, któryby nie uraził nas chłodną obojętnością, trafnie, dobierając się do skarbnicy naszego uczucia — do serca. Dziennik wychodzący w Nowym-Yorku „New-York Herald”, choć się na rzecz nie zgodził, rozbił ją przecież poważnie, jak coś co mieści w sobie pewne ziarno mogące wydać z czasem owoc jakiś. Należało przecież postawić przeciw „Kredytowi serca” ten stary nakaz przykazania Bożego: „Kochaj bliźniego twego, jak siebie samego”.

Odkryto tu na małej, bezludnej wyspie La Plata położonej o kilka mil morskich od półwyspu Equadoru skarb archeologiczny, który zajął uwa-

gę całego uczonego świata. Kopiąc ziemię na jakiś użytek, odkryto niedawno starożytne cmentarzysko, obejmujące cały obszar wyspy. Podkład pierwszy przedstawiał kamienie gładko obrobione, a pod niemi mogiły na dziesięć stóp głębokie, w których spoczywały kościotrupy, otoczone wielce bogatymi przedmiotami ze złota, srebra, brązu, obok tego naczyńia gliniane, artystycznie wyrobione,—co wszystko świadczy o wysokim stopniu cywilizacji ludu, który tu żył przed wiekami, znalezione zaś obok tego topor kamienny wykazywał zbytek bardzo pierwotnych czasów. Wedle badań, które czyniono na całym obszarze wyspy, ustala się przekonanie, iż La Plata musiała posiadać niegdys rozległość o wiele znaczniejszą, że może łączyła się ze stałym lądem, i tylko jakiś kataklizm natury oderwał ją od całości.

Dla czego przecież ludność jej wyginęła doszczętnie? Jest to rzeczą wiadomą, że indyjskie pokolenia Ameryki Północnej wymierają powoli przy zetknięciu się z cywilizacją i wkrótce też zostanie po nich taki ślad jedynie, jaki tu odkryto. Obecnie dzieje się to ze szczepem ludyan Raw w Texas; zajmował on obszary ziemi żyznej, łąk niezmiernych, lasów odwiecznych, których część większą zabrał im rząd związkowy, a obecnie wedle umowy zawartej z niemi miano im zapłacić 10.000 dolarów odszkodowania. Nie doczekały tego przecież biedne dzieci natury: spłoszono im zwierzę, która ich żywiła, odwrócono bieg wód, rozgospodarowano się tak, że nie stało im tchu, i obecnie jest już ich garstka mała, zwolna wymierająca z głodu, z chorób różnych, które im dało zetknięcie z cywilizacją. Zostanie biedaków kupka nieliczna i Amerykanie będą ich pokazywali sobie palcami, skoro ukaże się który tatuowany, z piórami na głowie, stąpający tak poważnie i dumnie, jakgdyby był jeszcze panem starych siedzib swego rodu.

Alę głos jakoby mściwego odwetu podnosi się, wołając na tępiciele: „Momento mori”.. Najpoważniejszy z dzienników tutejszych „New-York Herald” zadał sobie pracę zgromadzenia wszelkich hipotez dotyczących końca świata, a które nauka nowożytna przypuszcza. Powierzchnia stałego lądu codzień się zmniejsza, zabierana przez wodę, która grozi potopem, gdy lody gromadzą się massami wielkimi u bieguna północnego, a nastąpi moment taki, w którym ziemia straci równowagę i dokona takiego obrotu około osi swojej, że wszystko na globie naszym przewróci się od góry do dołu. A ziemia zbliża się też coraz to bardziej do słońca i zagraża to jej spalaniem się wszystkiego, co na niej istnieje, gdy wody wciąż wysychają, źródeł jest coraz mniej i śmierć z pragnienia, z posuchy i upału ukazuje się w perspektywie. Obok tego co trzy tysiące lat widocznie dopatrzeć się można zwyrodnienia ludzkości, i człowiek będzie się też stawał coraz mniejszym, może nie większym od owadów, a z kolei słońce, które paliło, będzie traciło swój żar, a wreszcie świat nasz stanie się w końcu bryłą skostniałą.

A tymczasem ten człowiek, taki marny, taki bezsilny wobec wyroków przeznaczenia, wdiera się coraz dalej w tajniki przyrody. Dzienniki tutejsze doniosły, że Edison, wypalając dwadzieścia cygar dziennie, dnie i noce spędza nad coraz-tu nowymi drogami życia ludzkości. Laboratorium kosztuje go rocznie 200.000 dolarów, ale wyszło z niego na świat czterysta wynalazków, na które uzyskał 400 patentów uznania i trzy miliony dolarów majątku. A człowiek ten jest głuchy na oboje uszu, przecież nie widać, aby był smutnym bo stworzył sobie świat własny, w którym wszystko jest mu wiadomem, i rozkochany w tej pracy poświęca jej 16 godzin dziennie. Można mu też zazdrościć, nie dolarów jego, nawet nie sławy, jaką zyskał, ale życia siły tego zamilowania wiedzy—siły patrzenia w głąb świata.

Na zakończenie doniosę wam, jak stara Europa zaludnia młodszą swoją siostrzycę. W miesiącu Styczniu przybyło tu nam 5.000 ludzi z góry a przywieźli oni z sobą 82.500 dolarów, przynieśli razem siły swoje do pracy i Ameryka co rok to potężniejszą, silniejszą się staje, i coraz zdaje

się przerastać macierz, lecz cierpi na jeden brak, który niczem zastąpić się nie da—nie ma takich jak Europa tradycyi!..

KOBIETY - POETKI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO

(Odczyty wygłoszone w Sali Ratuszowej w d. 9-ym, 11-ym, 12-ym i 13-ym Marca, na rzecz Osad Rolnych)

W rozwoju tak zwanej sprawy kobiecej niepodobna nie zauważyć okoliczności nader znamiennej. Gdy kapłanka naszego ogniska rodzinnego, po długich latach niemowlęstwa, poczuła w sobie rodzące się siły duchowe, gdy wskutek tego zapragnęła zająć samodzielniejsze stanowisko w życiu i w społeczeństwie,—dłoń jej wyciągnęła się, nie po kęs chleba dla ciała, lecz po strawę dla umysłu i serca. I oto w pracy ducha znalazła niewiasta rozwój i pokrzepienie swej natury wewnętrznej, znalazła podniesienie swej godności człowieczej. A owoce tej pracy, nietylko dla niej samej bogatą ucztę ducha gotowały, ale zarazem i dobytek powszechny niemało zubożyły. Tak było, zdaje się wszędzie, tak było i u nas. Spór ekonomiczny, spór o pracę dla kobiety: to wytwór potrzeb i życia doby późniejszej, bardzo już od nas niedalekiej. Walka o równouprawnienie płci słabszej z silniejszą rozegrała się najpierw w sferze kształcenia ducha.

Nie dobiega nas z dawnych wieków echo głosów niewieścich, wołających o to równouprawnienie, ale musiały się one odbywać, wyłącznie jednak na arenie życia domowego i towarzyskiego, gdyż broni pióra kobieta nie miała jeszcze w ręku. Ze tak było, dają o tem świadczyć głosy mężczyzn, którzy słusznie się o prawa dla sych towarzyszek życia dopominają. Dość tu przypomnieć to, co w tej sprawie pisali tak dawno już Andrzej Glaber z Kobylina i Łukasz Górnicki.

Przez długie lata, przez wieki całe, wążką strugą płynęło życie kobiety. Dom, rodzina, kościół—oto wszystko, czem żyła, o czem myśleć i co ukochać mogła. Na szerszej arenie, gdzie mężczyzna był panem wszechwładnym, w piśmiennictwie, które nosiło na sobie charakter przeważnie polityczny, ciche strażniczki ogniska rodzinnego udziału przyjąć nie mogły. Zresztą w kobiecie poruszyć trzeba silnie strunę uczuć osobistych, aby jej serce, a za sercem umysł odpowiedziały echem sympatycznym. Nie mogła więc ona przyjąć udziału w biesiadzie ducha, nierozbrzmiewającej pieśnią, któraby głębiej serca poruszyła i wyobraźnię w czarodziejskie wprowadziła kraje; nie mogła przyjąć udziału nawet dla spożywania tej uczy: a jej własne ręce były za słabe, aby samodzielnie coś nowego, bliższego swej natury duchowej, stworzyć mogła. Dotychczas nawet talent kobiety nie doszedł do wyżyn, z którychby nowe słońce nad światem mógł zapalić. Talent ten jest bardziej odtwórczym, niż twórczym-geniowym.

Jeżeli już w wieku XVI wyrwała się cicha piosenka ze słabej piersi kobiety, to wywołała ją sfera uczuć i wierzeń, duszy jej najbliższa. To, co dnia każdego serce jej mówiło Bogu, ta wiara gorąca, której była ona zawsze kapłanką przy ognisku rodzinnem, wyrwała się z jej piersi nutą pierwszej piosenki.

„Z ochotnem sercem Ciebie wysławiam, mój

[Paniel

„Żeś Ty okiem łaskawem raczył wejrzeć na

[mie,

„Nie zgardziłeś pokorą służebnice swojej,

„Która się wszystka daje w moc opiece

[Twojej.“

W tak skromnych rymach garnęło się pod skrzydła wiary religijnej serce pierwszej wierszopiski naszej, Zofii Oleśnickiej z Pieskowej Skąły. Słabiutka to jeszcze pieśń duszy niewieściej, ale szczerą i serdeczną.

Postać tej poetki a także postać innej jeszcze wierszopiski, Reginy Filipowskiej, toną we mgłę przeszłości, i dzieje piśmiennictwa nie wiele o nich powiedzieć mogą. Dopiero w ostatnich czasach Brückner podał w „Bibliotece Warszawskiej“ bliższe szczegóły o życiu i pismach Benisławskiej.

Z biegiem czasu, z rozwojem życia, kobieta wysuwa się powoli z ciasnego zakątka domu i rodziny; w życiu towarzyskiem, szczególnie na dworach magnackich, rolę odgrywać zaczyna, a nawet ciekawy jej rozumek i ambicya w intrygach politycznych udział przyjmują. Szczególniej nacisk cudzoziemczy wpływ w tym względzie wywarł. Gdy nadto obulził się żywszy ruch umysłów pod wpływem prądu humanizmu i reformacyi, gdy Zachód rzucił na naszą niwę umysłową zasiew swej oświaty, gdy wskutek tych nowych czynników obudziło się piśmiennictwo, szerszy zakres życia obejmujące, naówczas mogła się już odezwać żywsza myśl twórcza w duszy kobiecej, naówczas mogła ona przemówić najpotężniejszymi czynnikami swej natury wewnętrznej: sercem i wyobraźnią, więc przemówić w pieśni.

Długo jednak czekał ten nowy powiew, nim zdołał zapłodnić twórczość ducha niewieściego, musiał czekać, aż te wszystkie, wskazane wyżej, czynniki ożywcze zespolą się we wspólnem oddziaływaniu. I oto, gdy się tego najmniej można było spodziewać, wśród panującego jeszcze mroku epoki makaronicznej, epoki zepsucia smaku i obyczajów, wprawdzie już na skraju dni, wśród których nowy świat ducha ma zabłysnąć, pojawia się na arenie piśmienniczej niepospolity talent poetyczny, pojawia się Elżbieta Drużbacka. Było to na początku wieku XVIII. W utworach tej poetki wystąpiła odrazu dusza niewieścia z całym zasobem swych odrębnych właściwości. Serce wrażliwe, wyobraźnia żywa, szczerść, prostota i skromność tworzą jedną nutę harmonijną, a nad wszystkim unosi się wiara gorąca, szczerą, bez obłudy, połączoną z czystością moralną uczuć i myśli. Umysł kobiety, wyrwający się z piełuch, nie zbyt wielka jeszcze siła samouctwa, wskazuje jednak poetce ideały artystyczne w płodach piśmienniczych Złotego Wieku, wskazuje jej w życiu społecznym to, co w niem było najlepszego w łączności zaś z uczuciem opromienia wyższe ideały prawdy i piękna, a zarazem każe jej odwracać się ze wstrętem od tego, co grzeszyło ciemnotą i upadkiem.

Jak pszczoła zbiera słodycz z kwiatów, aby miód wytworzyć, tak poetka nasza zbierała z niwy życia najlepsze pierwiastki duchowe, aby z nich czarowny nektar poezyi wydobyć. Była ona dziecięcym wiekiem swego, ale dziecięcym najlepszym.

Zaznaczyć trzeba, i to silnie zaznaczyć, że pierwsza prawdziwa poetka nasza weszła do świątyni sztuki w szatach kapłaństwa i podniosła wysoko sztandar ducha. Postać jej rzuca jasną strugę światła na ciemny obraz duchowy i moralny chwili współczesnej. To, co miało być dopiero bogactwem dni późniejszych, odezwała ona sercem kobiety i poetki. Nie była Drużbacka wieszczką przyszłości we właściwym tego słowa znaczeniu. Zrozumiała ona tylko lepiej od innych rodzące się w łonie społeczeństwa nowe siły duchowe i wyraz ich lepiej wypowiedziała, bo z całego grona wierszopisek ówczesnych ona tylko jedna władała tą potęgą odczucia, który daje talent prawdziwy.

Najpiękniejszymi w odczuciu poetycznym są te utwory, do których dała Drużbackiej natchnienie kraina czarów przyrody. Na piękność tej przyrody dziwnie wrażliwem jest serce poetki, i pod tym względem niewiele z rymotwórczyni naszych jej dorównywa. Umie ona podpatrzeć przyrodę z najpiękniejszej jej strony, umie piękno to odczuć i w obrazach malowniczych odtworzyć.

A tu i ówdzie odzywa się cichy dźwięk tęsknoty i marzenia, a nawet nuta zapalu, jakby niezna-

ne dotąd zwiastuny mającego nieprędko jeszcze spłynąć na poezją ducha uczuć romantycznych. Poetka ukochała całym sercem lasy szumiące, bystre strumyki, łąki zielone, a żywa wyobraźnia chwyta z nich to, co pięknem nieśmiertelnem do duszy przemawia. Warto przypomnieć sobie tę pieśń, którą niezawodnie powtarzały niegdys dziejące usta nasze:

„Lasy kochane, zielone chłodniki.

„Drzewa, przyjemny szum dające z siebie,

„Trawy, pagórki, biegące strumyki,

„Przy was niech mieszkań, choć o suchym [chlebie!

„Zdrowszy mi napój z waszych źródeł żywych,

„Niż drogie trunki, gdy z rąk nieżyczliwych.

„Jak ranna zorza swój rumieniec śliczny

„Pokaże, rosa perłowe kropelki

„Pozbiera, już ci pasterz okolicny

„Nie zaśpi, a ptak wyśpiewuje wszelki;

„Ci trzody owiec żenią między wrzosa,

„Te mokre skrzydła otrzepują z rosy.“

Jak tu ślicznie cicha przyroda wiejska odbija się w prostocie i czystości formy poetycznej! Jakby skowronek śpiewał wysoko pod sklepieniem niebios, skrzydła swe w blaskach słonecznych topiąc. A jak delikatne dotknięcie pędzla malarzkiego! Czuć w tem dotknięciu miękka a ciepła dłoń kobieca.

Wyobraźnia i uczucie Drużbackiej nie posiadały natury wybuchowej; pełne były głębokiego spokoju, pełne ciszy lasów, szmeru strumyków i pieśni słowicznych.

Uczucie ciche, a głębokie, wyobraźnia żywa, jasna, ale nie płomienna, rozum bystry i trzeźwy, choć nie znoszący głębszej reflexyi: oto znamienne rysy organizacyi artystycznej tej poetki. Ukochała ona Boga, przyrodę i ludzi tem serdecznem, cichem, a głębokim uczuciem, z którym kobieta dawniejsza i kobieta ówczesna przystępowały do każdej sprawy życia, z uczuciem, które drgało we łzach jej modlitwy, w słowach jej przysięgi u stóp ołtarza, w piosenkach, które dziecięciu swemu u kolebki nuciła, i w ostatniem spójrzeniu zamierającej, w niebo zapatrzonej żrenicy.

Pogodne zwierciadło wyobraźni poetki odbijało wiernie obrazy jasne, słoneczne, wlewające w pierś otuchę i nadzieję. To też wiosna znalazła w niej prawdziwie natchnioną i wierną śpiewaczkę. Któż z nas i tego wiersza nie pamięta:

„O! złoty wieku w postaci dziecinnej,

„Wiosno wesola! toć się pięknie śmiejesz.

„Wszystko twej ujdzie płochości niewinnej,

„Czy chłodem dmuchasz, czyli ciepłem grzejesz;

„Wolno-ć, jak dziecku, dla swojej zabawki,

„Dziś urodzone straszyć śniegiem trawki.“

W opisach wdzięków przyrody wyobraźnia poetki streszcza się w kilku obrazach i szybko bogactwa swe wyczerpuje. Nie umie rzucać na tło natury tych pysznych dekoraacyi, któremi tak bogata jest poezja romantyczna. Ale za to w opisach poetki drga życie stworzeń, życie roślin, zwierząt i ludzi. Brak romantyczności zastępuje prawda, ciepła i serdeczna. Obrazy wesole, słoneczne, stanowią tło górzące. Przyroda rozwesela duszę poetki, zachwyca ją, ale bardzo lekko tylko, i zaledwie na chwilę, rozmarza. Nawet jesień nie wlewa do jej serca tęsknoty, smutków jej nie odczuwa wcale; wichry szumne o strunę jej serca nie trącają; przeciwnie, poetka chwali bogactwo darów jesiennych, i to ją najbardziej zajmuje. Tych barw, któremi zamierająca przyroda rzuca smutek na serce człowieka, tych odgłosów tajemnych, które niosą nam czary tęsknej zadumy, dusza poetki odczuć nie umie. Więc pieśń jej nie odtwarza natury jesiiennej, a raczej maluje żywymi barwami zbiór bogatych jej plonów. Wygląda to tak zupełnie, jakgdyby nam malarz ukazał na obrazie jesień w postaci drzew, pełnych owoców, lub stogów zboża w stodole.

NARZECZONA I ŻONA W JAPONII

przez Japończyka

NAOMI TAMURA *)

Jasny, spokojny widok pogodnej zimy żywiej przemawia do wyobraźni poetki i plastyczniejsze w pieśni znajduje obrazowanie. Widzimy w niej miłą, roz pogodzoną twarz białej staruszki-czarodziejki. I mówi do niej śpiewaczka:

„Ty w lasach piękne piramidy stawiasz,
„Po drzewach, pniakach, cukry lodowate,
„Niemi jadących oczy zastanawiasz,
„Patrząc na brzozy, na świerki brodate,
„Które się pysznia, jako drogim sprzętem,
„Gdy je osuła szklącym dyamentem.“

Wogóle przyroda nastroja serce poetki na nutę pieśni uroczystej, pełnej zachwyty i uniesienia ducha cichego, nie wulkanicznego, ale w uczuciach swych głębokiego. Pieśń jej najlepiej odtwarza to, co przyroda w malowniczych swych wdziękach rzuciła nam odrazu w oczy; wewnętrznej, duchowej głębi zjawisk natury poetka nie bada, płynąc spokojnie na fali wrażeń, bezpośrednio odczuwanych.

Życie przyrody i najbliższego jej ludzkiego otoczenia wytworzyło pod piórem poetki świat sielanki i idylli. Z dziwnym smakiem artystycznym zostawiła w nich Drużbacka przyrodę w pierwotnej prawdzie i czystości, nie psując cudownej jej harmonii sentymentalną romansowością sztucznych pasterzy i pasterek. Zbliżyła się w tym względzie do dawniejszych sielankopisarzy, a daleką jest od nienaturalności późniejszego pseudo-klasycyzmu.

Przyroda więc pierwsza najczystszym źródłem natchnienia spłynęła w serce śpiewaczki naszej. Wrażliwa jednakże jej dusza musiała zarazem ulegać wpływom tego otoczenia ludzkiego, wśród którego żyła. Cały żywot poetki na tle zdarzeń społecznych, na tle wieku odmalowała nam Seweryna Pruszkowa w długim poemacie, pod tytułem: „Elżbieta Drużbacka.“ Udatny ten pod względem poetycznym utwór przedstawia nam dosyć wiernie tło życia ówczesnego i charakter poetki, ale w wielu miejscach mija się z rzeczywistością i nie zgadza się z tem, co już napewno o Drużbackiej wiemy.

Urodziła się Elżbieta w cichym dworku szlacheckim Kowalskich, dalekim od zepsucia wielkiego świata. W dworku tym panował obyczaj stary i świeciło jasno pogodne słońce miłości rodzinnej i cnót wszelakich. Lata młodości spędziła utalentowana dziewczę na dworach wielkopolskich, gdzie poznała życie w szerszych jego ramach. I życie to nauczyło ją wiele. Nadto, żywy jej umysł garnął się do książek, więc poznała dobrze piśmiennictwo nasze w lepszej formie jego rozkwitu, a że łaciny się nie nauczyła, to nawet lepiej dla niej było, bo uniknęła zarzków ówczesnego makaronizmu. To też później na strunach jej lutni ozwało się echo pieśni Reja, Kochanowskiego, Klonowicza, Szymonowicza i innych. Lecz silna natura artystyczna niebawem dała jej lot swobodny, oryginalny. I wzięła poetka dzwignię lirę starych piewów w swe białe dłonie niewieście i uderzyła w nią ze szczerem natchnieniem i tak silnie, że cały ją kraj usłyszał. Starcie się dwóch różnych światów: świata obyczajów patryarchalnych, ogrzanych ciepłem ogniska rodzinnego, i świata, dworującego na komnatach wielkopolskich, wśród którego czara życia kipiała wrzącą pianą namiętności — odezwało się w pieśni Drużbackiej nie ostrym dyssonansem, ale łagodną satyrą, potępiającą zepsucie, miłością dla cnoty i prawdy, miłością dla ludzi i chęcią ich poprawy.

Krótko cieszyła się poetka pogodą szczęścia rodzinnego. Wyszedłszy za mąż za Kazimierza Drużbackiego, owdowiała wcześniej, a później parzyła boleśnie na groby, które wszystkich jej najdroższych po kolei zabierały. I gdy została już sama jedna prawie na świecie, poszukiwała schronienia dla zbolełego serca w cichej samotni klasztornej. Z celi pustelniczej, gdzie ostatnie lzy swych smutków na ołtarz wiary wylewała, wyniesiono ją na spoczynek wieczny. Oto w kilku słowach cały cichy, a bolesny dramat życia poetki i natchnionej poetki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

W innych krajach, i u innych narodów, wzajemna skłonność jest podstawą małżeńskiego życia; u nas w Japonii jest inaczej: nie z miłości zaślubiają się małżonkowie. Zdarza się wprawdzie niekiedy, że mąż i żona pokochają się po ślubie, lecz fakt taki należy do szczęśliwych wyjątków. Głos serca nie wpływa na zawarcie związku małżeńskiego, a jeśliby kto zapragnął iść za nim, ściągając na siebie pogardę, społeczeństwo patrzy na niego, jak na człowieka bez zasad; wstydzą się go nawet rodzice. Opinia publiczna stawia miłość dla koi iety na bardzo niskim stopniu moralności; prawdopodobnie wypływa to z zasad buddyjskiej religii, uważającej kobietę za grzesznicę pokutującą. Godnym jest pożałowania, że nasz japoński naród nie odróżnia pojęcia miłości od pojęcia namiętności.

Co jest więc właściwie podstawą małżeństwa w Japonii? Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, należy zapoznać się z żywiołem, mającym ogromny wpływ na nasze życie towarzyskie. W żadnym może narodzie pochodzenie rodowe nie ma tak ważnego znaczenia jak u Japończyków, — ma ono dla nich większą wartość niż życie. Za czasów feudalizmu najsurowszą karą za przestępstwo była zagłada rodu, który nieraz przetrwał setki lub nawet tysiące lat. Stoimy na straży czystości naszej krwi, a otaczając ją murem, nie łączymy się z inną narodowością. Przed zawarciem małżeństwa ściśle badane są drzewa genealogiczne, a młoda osoba, w której żyłach nie płynie „krew błękitna“, nie może liczyć na związek z członkiem znakomitego rodu. Należąc do dobrej rodziny większym jest zaszczytem, niż mieć majątek lub wykształcenie.

Opierając się na tej zasadzie, szanujemy ojca jako głowę rodziny, dobroczyńcę, zachowawcę, przez którego splota na nas dobre imię z pokolenia na pokolenia. Ojciec sprawuje nieograniczoną władzę w rodzinie, jest jej prawodawcą, sędzią i królem. Rodzina u nas jest nie tylko poświęconym, lecz niezbędnym urządzeniem społecznym: ojciec przekazuje synowi nazwisko, godność i rodowód, po nim zaś dziedziąca je następnym pokoleniu. Dla każdego mężczyzny w Japonii stanowisko ojca jest upragnionym, a każdy prawie młody Japończyk ubiega się o nie, jak gdzieindziej starają się o urząd ministra lub kanclerza państwa.

Celem więc u nas małżeństwa jest utrzymanie rodu; a przed tym celem schodzą wszystkie inne na drugi plan. Jeśli starszy syn nie odpowiada pod względem fizycznym lub intelektualnym, warunkom wymaganym do dobrego małżeństwa, wówczas drugi syn z kolei zajmuje miejsce ojca; jeśli jest tylko córka, w takim razie ojciec stara

*) Autor należy do jednej ze znakomitych rodzin w Tokio; odbył czteroletnie studia teologiczne w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Artykuł ten jest streszczeniem zajmującej, wartej przeczytania książki Tamura, wydanej bieżącego roku u Harpera i Braei w Nowym Yorku, ozdobnie, w kieszonkowym formacie z ilustracjami p.t.: „Japońska narzeczona“ (*The Japanese Bride*). Książeczka ta zawiera pierwszy prawdziwy opis towarzyskiego życia w Japonii, dany przez krajowca, i dowodzi niezwykłej śmiałości. „Opisałem szczerze domowe nasze życie, — mówi on w przedmowie, — do którego obcy wciągnąć się nie może, gdyż większość Japończyków życia domowego ujawnić nie chce, pragnąc przez uczucie wstydu ukryć ciemną jego stronę przed okiem cudzoziemca. Starłem się pisać szczerą prawdę, nie kłując się żadnymi względami lub obawą.“ Aby nie odbierać opisowi naturalnego jego charakteru, uważaliśmy za właściwe, dać głos autorowi, jak w oryginale.

się wynaleźć dla niej odpowiedniego męża, którego ona przyjmuje do domu, zamiast iść za nim. Nazwisko jej przechodzi również na męża, który zajmuje miejsce najstarszego syna w domu. Taki syn przybrany nosi w Japonii nazwisko Joszy.

Młodzi niechętnie przecież żeni się z jedynaczkami, gdyż władza męża w domu rodziców żony nie jest tak nieograniczoną, jak w jego własnym domu. Jest to jedyny wypadek, w którym japońska małżonka ma pewną władzę nad mężem. Niełatwą zatem rzeczą jest wyszukanie Joszy dla córki, i nieraz ojciec musi się zadowolnić podrzędną osobistością. Jeśli małżeństwo jest bezdzietne, w takim razie obowiązane jest przybrać córkę i syna, a ojciec stara się usilnie parę tę połączyć, aby im również zapisać majątek. I oni noszą nazwę Joszy.

Obowiązkiem ojca jest również czuwać nad tem, aby wszystkie dzieci wstąpiły do stanu małżeńskiego. Wskutek tego niema wcale w Japonii starych kawalerów, ani starych panien. Wstydem jest dla rodziny, jeśli panienka nie wyjdzie za mąż przynajmniej w dwudziestym roku życia. W żadnym kraju sprawy małżeństwa nie są tak dobrze prowadzone, jak u nas w Japonii. Dzieci nasze do sześciu a nawet siedmiu lat przebywają razem i bawią się bez przeszkody na placach przeznaczonych do gier; chłopcy jednak mają tu zawsze przewagę. Od początku życia swego panienka musi się oswoić z myślą swej zależności. Chłopiec nazywa swą siostrę po imieniu, ona zaś ma prawo nazywać go „*Ani san*“ (drogi brat). Jeśli razem jedzą, chłopiec zajmuje honorowe miejsce; zwykle jednak syn siada do stołu z ojcem, córka zaś z matką po nich dopiero miejsce zajmują przy stole. Wezwanie więc i systematycznie dowiadują się dzieci o niższym stanowisku kobiety. Od lat dziesięciu panience nie wolno więcej bawić się z braćmi, i odtąd nieprzebyty mur wznosi się między rodzeństwem.

Mówią wogóle o kobietach, że są bardzo wielomówne. Chińczycy dla oznaczenia wyrazu „hałaśliwy“ powtarzają dwa a nawet trzykrotnie wyraz „kobieta.“ Japonka tymczasem jest prawie niemą w obecności mężczyzny; nie wtrącają się wcale do rozmowy. Zapytana odpowiada półsłówkami, a żadnej sprytniej i dowcipnej odpowiedzi nie można już z niej wydobyć. Wobec tego „flirt“ uprawiany u innych narodów, tu jest niemożliwy. Lecz niech łaskawe czytelniczki z tego powodu nie mają dla nich wzgardy; nie są one wychowane do życia towarzyskiego. Gdyby otrzymały wykształcenie równe naszemu, bez najmniejszej wątpliwości byłyby nasze z gruntu dobre panie o żółtej cerze równie świetne rozmownymi jak panie o różowych policzkach!

Najważniejszą osobistością w naszym systemie jest *Nakodo*, pośrednik, bez którego zrzecznej pomocy, żadne małżeństwo do skutku przyjść-by nie mogło. Tytuł swój uważa on za wielki zaszczyt; urząd jego wymaga specjalnych zdolności i odpowiedzialności ciężkiej na nim wielka. Jest on w rzeczywistości publicznym urzędnikiem i za takiego też powszechnie go uważają. W stosunku do narzeczonego zajmuje miejsce przyjaciela, ojca, świadka, adwokata, sędziego i duchownego.

Gdy w Japonii ojciec zapragnie swą córkę wydać za mąż, zwraca się do przyjaciela, który mu wkrótce donosi, że ma na widoku odpowiedniego młodzieńca na męża dla niej. Ojciec dowiaduje się o wiek, towarzyskie położenie i inne szczegóły dotyczące upatrzonego zięcia, a gdy wszystko jest w należytej porządku, wówczas prosi swego przyjaciela, aby był pośrednikiem i wystarał się o propozycję małżeństwa ze strony ojca młodzieńca. Stanowisko przyjaciela staje się odtąd urzędem, a zanim taki *Nakodo* podejmie się sprawy, powinien zbadać dobrze, czy posiada odpowiednie kwalifikacje. Powinien mieć równe stanowisko społeczne obydwom układającym się stronom, i być żonatym; inaczej niewolno mu zajmować się żenieniem ludzi. Gdy już podjął się jakiej sprawy, czas jego bardzo jest zajęty. *Nakodo* służy za rodzaj telefonu pomiędzy narzeczoną a narzeczoną, a oni starają się o to, aby pośrednik ciągle był czynnym, i powierzają mu mnóstwo drobnych zleceń.

Zwyczajem ogólnie przyjętym, zanim się odbędzie ceremonia ślubu, młodej parze dają sposobność raz jeden się zobaczyć. Nakodo urządził im *Mijai* (ren-jez-vous), odbywające się trojakim sposobem:

1) Pośrednik sprowadza przyszłego zięcia do domu ojca panny młodej, i tam go przedstawia. Pierwszą szklankę herbaty podaje służąca, drugą córka. Młoda osoba zbliża się powoli do młodzieńca, podaje mu herbatę, kłania mu się uprzejmie, i odchodzi natychmiast do sąsiedniego pokoju. Nie zatrzymuje się ani na chwilę, nie mówi ani słowa, a młody człowiek bezwarunkowo musi powziąć stanowczą decyzję stosownie do otrzymanego wrażenia.

2) Drugim rodzajem *Mijai* jest „spotkanie się na moście.“ Nakodo kieruje tu w ten sposób sprawą, że się młodzi muszą spotkać na umówionym moście. Sam towarzyszy swoim klientom, a młoda osoba przybywa pod opieką krewnej lub służącej. W tym razie przegląd trwa nieco dłużej, lecz do rozmowy nie przychodzi.

3) Trzecim wreszcie sposobem i najbardziej dającym pole do wzajemnego poznania się jest „spotkanie się w teatrze.“ Pośrednik przyprowadza swego przyjaciela do teatru, i zajmuje z nim miejsce w tej samej łoży, w której znajduje się panna wraz z rodziną. U nas, w Japonii, przedstawienie trwa niekiedy od wczesnego ranka do północy, a jedzenie i picie gra tu także ważną rolę. Młódz obu płci jest więc z sobą razem przez dzień cały, lecz w obecności rodziców i kilku tysięcy ciekawych. Niewiele zatem i w tym razie korzystać mogą przyszli małżonkowie ze swego towarzystwa. Po większej części ojcowie czynią przygotowania do uroczystości ślubu, nie pytając o zdania tych, których to głównie obchodzi. Narzeczony nie ma wtedy sposobności nawet spojrzeć na swą przyszłą i musi się tem zadowolnić, co mu doniesie Nakodo.

Gdy młodzi ludzie spotkali się już na *Mijai* i podobali się sobie, wówczas pośrednik oznajmia rodzicom młodej pary o wzajemnem ich zezwoleniu, a wtedy przychodzi kolej na krewnych; ci znowu ze swej strony prowadzą gruntowne badania co do prawdziwości błękitnej krwi i nieskazitelności rodowodu. Duchowieństwo nie bierze udziału w ceremoniach ślubu, gdyż religia nasza nie uważa małżeństwa za instytucję religijną, a rząd nie przepisuje żadnego ceremoniału.

Po odbytem weselu nie kończą się jeszcze obowiązki Nakoda. Uważany jako drugi ojciec młodej pary, jest jej doradcą, zwłaszcza w kwestjach dotyczących zawiązującego się pożycia. Jeśli zajdzie nieporozumienie pomiędzy małżonkami, odwołują się do niego, nawet w razie drobnej sprzeczki, a dziewczę raz na dziesięć Nakodo rozstrzyga na korzyść małżonka. W nieporozumieniach z teściową Nakodo również jest sędzią i zwykle trzyma stronę tej ostatniej. Młoda kobieta musi przeproszać, czy wina jest po jej stronie, czy nawet w razie przeciwnym.

Zdarza się niekiedy, że małżonka opuszcza dom męża, wtedy mąż posyła po Nakoda i spowiada mu się ze swej troski. Pośrednik odszukuje czarownicą buntowniczkę w domu jej ojca i zapytuje o powody postępowania. Ucieczka taka powtarza się niekiedy do trzech lub czterech razy, aż wreszcie młoda kobieta daje się nakłonić do pozostania w domu męża na zawsze. Jeśli powrót jej zadługo się opóźnia, lub jeśli mąż nie chce żony przyjąć napowrót, pośrednik zostaje adwokatem układającym warunki separacji. Do niego należy czuwać nad tem, aby mąż zwrócił ojcu żony wszystkie podarunki, jakie żona wniosła w posagu do jego domu.

Gdy *Mijai* czyli spotkanie szczęśliwie się odbyło, i obaj ojcowie zgodzili się na małżeństwo dzieci, wówczas następuje tak zwane *Umo*, czyli wymiana wina, suszonej ryby i jedwabnego materiału na suknię, pomiędzy stronami. Potem naczynia się dzień uroczystości weselnej. Pod tym względem Japończycy bardzo są zabobonni, wierzą w dni feralne, i w takie dni śluby nigdy się nie odbywają. Jako feralne uważane są następujące daty: 16 Stycznia, 20 Lutego, 4 Marca, 18 Kwietnia, 6 Maja, 7 Czerwca, 10 Lipca, 11 Sierpnia, 9 Września, 3 Października, 25 Listopada, 30 Grudnia, oraz rocznica śmierci dziadka i babki. Przed ślubem narzeczona przysyła do domu swego przyszłego wszystko, co z sobą ma zabrać, t. j. suknie na długie lata, naczynia gospodarskie, oraz pieniądze.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Międzynarodowa wystawa ogrodnicza odbędzie się w Petersburgu: otwarta będzie we wrześniu i trwać ma aż po rok 1895. Wystawa obejmować będzie: dział ogrodnictwa, sadownictwa, konserwów i wszelkich przetworów owocowych, chmielarskich i roślin lekarskich, narzędzi i maszyn, drzew i krzewów owocowych, literatury specjalnej. Zarząd petersburskiego Tow. Ogrodniczego czyni starania, aby uzyskać tańszy przewóz kolejną, dla okazów i wystawców.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż budowa syberyjskiej kolei żelaznej wzbudziła w Chińczykach obawy. Wszyscy wice-królowie i rządcy prowincyi, oraz naczelnicy sił morskich i lądowych otrzymali rozkazy, aby twierdze i szance były doprowadzone do stanu obronnego i zaopatrzone w amunicję. Liczba wojsk została powiększona i rozstawiono je kordonem ponad granicą.

— Zarząd poczt i telegrafów wydał okólnik, przesłany stacyom wszystkim, żeby depeche o wypadkach nieszczęśliwych na kolejach, oraz depeche obserwatorium fizycznego w Petersburgu, zawiadamiające o zmianach atmosferycznych burzach, ulewach, zaspach śnieżnych i tym podobnych zdarzeniach, zaliczały się do najpilniejszych, miały pierwszeństwo nad wszelką inną korespondencją.

— W czasie wyścigów w Wilnie urządzona wystawa koni zgromadziła ich 68, a między temi 54 koni włościan. Najwyższą nagrodę, medal złoty *in natura* otrzymał p. Konstanty Piłsudski z Czebiszew w powiecie wileńskim za konia; „Tamerlan“ czystej krwi arabskiej. Najwyższą nagrodę pieniężną wziął hrabia Ledóchowski Ignacy z Poczterwień w pow. wileńskim; nagrodę drugą przyznano p. Leonowi Milaczewskiemu z Bliźny w pow. słonimskim. Nagroda mniejsza 75 rs., przypadła p. Korwin Kurkowskemu z Podolea w powiecie święciańskim, oraz p. Leonowi Milaczewskiemu. Obok tego medale brązowe przyznano p.p. Tadeuszowi Adamowiczowi z Łuszczykowszczyzny w pow. lidzkim, Ignacemu Parczewskiemu w pow. wileńskim, Józefowi Korwin Kurkowskemu, oraz Leonowi Milaczewskiemu. Na nagrody za konie włościańskie rozdano 400 rs., stanęło ich do popisu 54, nagrodzono 28, nagroda najwyższa była 30 rs.

— Analiza wody wiślanej ma być wkrótce dokonana w dole rzeki, w miejscowościach więcej

oddalonych od Warszawy, jak w Nowym Dworze, Wyszogrodzie, Płocku, Ciechocinku, Włocławku. Celem jest tu wyjaśnienie, gdzie woda wiślana jest najmocniej zanieczyszczona.

— Na pierwszej tegorocznej sesyi komitetu War. Tow. Sztuk Pięknych obrano wiceprezesa p. Józefa Weyssenhoffa. Bibliotekarzem został p. Miłoz Kotarbiński, gospodarzem wystawy p. Józef Holewiński kierownikiem i zawiadowcą sali rysunkowej p. Apoloniusz Kędzierski, kasyerem p. Stefan Szyller. Skład komitetu tworzą obok wyżej wymienionych p.p. ks. Michał Radziwiłł, Stanisław Wydzga i Adam Badowski. Wybrani przez zgromadzenie ogólne członków p.p. hr. Branicki Ksawery, Lucyan Wrotnowski oraz Ryszkiewicz i Julian Maszyński artyści nie zostali zatwierdzeni przez okręg naukowy. Powołani na ich miejsce p.p. Michał Józefowicz, Feliks Jasieński, prof. Gerson i Juliusz Herman nie przyjęli mandatów.

— Roboty zewnętrznego odnowienia kościoła Panny Maryi na Nowem Mieście ukończono. Płaskorzeźby, zdobiące główny portyk, otrzymały koloryt ciemniejszy, a nadto wmurowano w portyk główny płytę kamienną z napisem, iż tak odnowienie tej świątyni, jak i poprzednia jej restauracja dokonane zostały staraniem plebana, ks. Jungowskiego.

— W d. 22-gim Maja po uroczystem nabożeństwie, odbytem w kościele Ś-tej Anny (po bernadyńskim), dokonany został akt poświęcenia dwóch starożytnych, starannie odnowionych chórów majstrów i czeladników cechu rzeźniczego.

— Wystawa starożytności egipskich, otwarta w Wiedniu przez uczzonego archeologa, Grafa, ściągnęła liczną publiczność ze stron różnych. Są to malowane lub rzeźbione portrety mumii zabalzowanych przed wiekami. Kedyw Egiptu ma przybyć na wystawę.

— Minister oświaty, Dr Madejski, urządził w różnych miejscowościach państwa kursa archeologii dla rauczytelni szkół gimnazjalnych.

— W Krakowie ma być zbudowana nowa linia tramwajowa od kościoła Panny Maryi w rynku głównym, a idąca przez ulicę Szewską.

— Tramwaj elektryczny funkcjonuje we Lwowie bardzo dobrze, wagony są bardzo wygodne i eleganckie, biegają szybko i cicho po torze a wieczorem przy oświetleniu elektrycznym przedstawiają widok bardzo piękny.

— W Antwerpii odbędzie się pod protektoratem rządu belgijskiego, otwarty w d. 7-ym Lipca z trwaniem do d. 12-go Lipca, pierwszy międzynarodowy kongres pracy. W kongresie tym przemawiać będą członkowie wszystkimi językami świata, a tłumacze będą natychmiast przekładać zgromadzonym na język francuzki, niemiecki lub angielski treść przemowy. Wszelka dyskusya z dziedziny narodowości, religii lub polityki wykluczona będzie, a głównym tematem stać się ma podniesienie najpierw moralne, a następnie materialne dziennikarstwa, co według zapatrywań się rady głównej kongressu łączy się ze sobą. Dziennikarstwo szeroko rozgałęzione stanie się bogatszem w środki działania i nie potrzebując wtedy stosować się do tonu społeczeństwa, nadawać mu go będzie. Członkowie kongressu przyjeżdżący będą przez burmistrza miasta w ratuszu; wieczorem odbędzie się na wystawie uroczystość na ich uczczenie urządzona.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści „Lady Verner“, przekład z angielskiego, ark. 10 i 11.

TREŚĆ: Ważna kwestya, przez M. I. — Pogawędka, przez ?? — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — Z Ameryki.—Kobiety-poetki, przez Antoniego Pileckiego.—Narzeczona i żona w Japonii, przez japończyka Naomi Tamura. — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 10 i 11 T. I, **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści Lady Verner, przekład z angielskiego.—Przeгляд mód.—33 wzorów i robót z opisem. **Sekreta gospodarskie.**—Dyspozycya stołu.